



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisław Waligóra

Żona oficera

Urodziłem się 15 września 1935 roku we wsi Orzechowo w powiecie Września. Rodzice pochodzili z rodzin rolniczych, matka bez zawodu, ojciec fotograf. Orzechowo to mała wioska leżąca nad Wartą i otoczona lasami. Mieszkaliśmy w domu jednorodziennym przy głównej ulicy, gdzie po drugiej stronie znajdowała się fabryka parkietów B. Bystrzyckiego.

Byłem najstarszy z rodzeństwa. W chwili rozpoczęcia wojny miałem 4 lata, moja siostra 2, a mój brat pół roku. Mimo że miałem tylko 4 lata, niektóre zdarzenia pamiętam do dziś, choć z upływem lat pewne szczegóły się zacierały. Wspomnienia te odżywały wówczas, kiedy opowiadałem je swoim dzieciom, a obecnie i wnukom. Jedni i drudzy słuchając wspomnień ojca i dziadka w pierwszej chwili uważali to za bajki, nie mogli zrozumieć, że moje dzieciństwo wyglądało zupełnie inaczej niż ich.

W drugi dzień po rozpoczęciu wojny przyjechał po nas dziadek wozem konnym. Zabrał moją matkę z trójką dzieci do siebie na gospodarstwo rolne do wsi Dominowo (leżącej od Orzechowa około 20 km).

Pierwsze zdarzenie, które pozostało w mojej pamięci, to właśnie ta jazda końmi. Dzieci były rozdane.

Aż tu nagle gdzieś w okolicy Zberek nadleciał samolot, który nas ostrzelał. Wskoczyliśmy z wozu, schowaliśmy się w przydrożnym rowie pod drzewami. Tuż obok nas trafiały kule karabinowe. Po kilku minutach kiedy samolot odleciał, pojechaliśmy dalej już bez przeszkód. Być może dlatego po latach snią mi się czasem samoloty strzelające do uciekających ludzi. Na początku wojny Orzechowo nazywało się Nussdorf, a po roku zmieniono na Haseltol.

Już od pierwszych dni wojny, nasze codzienne życie to nie tylko zabawa, ale staranie się o żywność. Z kolegami z sąsiedztwa bawiliśmy się w berka, ścigaliśmy się felgą rowerową napędzaną odpowiednio ukształtowanym drutem, graliśmy w pikla, palanta, w chowanego. Były to tylko pozornie beztroskie chwile.

Moim stałym obowiązkiem było pasienie jednej kozy. Codziennie więc chodziliśmy z rodzeństwem z kozą na łąkę. Dzięki koziemu mleku byliśmy jako tako zdrowi.

Na wyżywienie otrzymywaliśmy na kartki pół funta chleba, ale to było za mało. Toteż w miesiącach letnich tuż po żniwach chodziliśmy po polach, zbieraliśmy kłosa żyta. Z otrzymanych w ten sposób ziaren w specjalnym młynku robiliśmy coś jak gdyby mąkę i z tego mama piekla na blasze pieca kuchennego tak zwanej blance, czyli placki z mąki, wody i soli. Jesienią zaś zbieraliśmy pozostawione na polu ziemniaki i znów było jedzenie. Zimą najczęściej zbieraliśmy w lesie gałęzie na opał. I tak dzień za dniem, rok za rokiem. Na piętrze w naszym domu mieszkało dwóch oficerów niemieckich. Na jednego z nich mówiliśmy chyba Hans a na drugiego de Sika (de Sico?).

Obiady jadali w kantynie po drugiej stronie ulicy. Często nam coś przynosili do jedzenia, czasem nawet cukierka lodowego. Mieli wilczura, który często z nami się bawił. Pewnego dnia oficerowie przynieśli z kantyny makaron – rurki z sosem. Dali przed domem to do jedzenia psu, w dużej misce.

Siedziałem obok miski, wyciągnąłem rękę po rurkę makaronu. Potem jadłem razem z psem. Zauważył to de Sico, wziął mnie do pokoiku do siebie, poczęstował cukierkami i zaczął opowiadać o sobie. Mówił, że ma dwóch synów w moim wieku i że bardzo za nimi tęskni. Ja już wówczas miałem chyba ze 6-7 lat.

Od tego czasu prawie każdego dnia de Sico przynosił coś do jedzenia. Najbardziej lubiłem wojskowe suchary. Którejś jesieni do oficerów na górze przyjechały w odwiedziny ich żony. De Sico miał ładną młodą żonę, a ten drugi jak się później okazało – jędzę. Tak ją nazywała moja mama.

Okolo metra od naszego podwórka, budowano z pustaków olbrzymi barak. Przy budowie pracowali jeńcy, chyba z różnych narodów, gdyż nie zawsze można ich było zrozumieć. Najwięcej było jednak tych co mówili „daj kartoszku”. Pewnego dnia wróciłem z pola z kartoflami za koszulą. Usłyszałem „daj kartoszku” więc przez płot rzuciłem kilka ziemniaków. Zauważyła to żona Hansa, zrobiła krzyk, wezwała strażników, a potem chyba oficera SS, bo niedaleko od naszego domu był ich posterunek. Przyszło ich dwóch. Coś im powiedziała i wskazała na mnie. Zabrali mnie na posterunek i zamknęli w ciemnej wilgotnej piwnicy. Moje przerażenie było ogromne. Nic nie jadłem, nic nie piłem. Na drugi dzień zostałem wypuszczony. Później dowiedziałem się, że to dzięki de Sico. Nie wiem co życzyłem żonie Hansa, ale widocznie musiałem coś złego życzyć, bo po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że wracające do siebie pociągami, żony zostały zabite w pociągu zbombardowanym gdzieś za Wrześnią. De Sico płakał.

Zimą na przełomie roku 1944 i 1945 często nocą słychać było przelatujące samoloty. Kiedy zbliżał się warkot samolotów w fabryce ogłoszono alarm. Ponieważ nasz dom stał prawie przy samej fabryce – uciekaliśmy w pola.

W czasie jednej nocy alarm zbudził nas ze snu. Ojca w tym czasie nie było w domu, Niemcy gdzieś go wywieźli. Z pomocą przyszli żołnierze z góry: Hans i de Sico. Pomogli nam ciepło się ubrać, zabrać ze sobą pierzyny i udaliśmy się przez pola pod wał nadwarciański. Słychać było wybuchy, widać było luny. Alarm odwołano. Wróciliśmy. Młodszego brata niósł na rękach Hans, a siostrę chyba de Sico. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że to nie fabryka była bombardowana, ale most kolejowy na Warcie około 2 km od nas.

Ostatnie dni stycznia 1945 roku mimo mrozów były bardzo gorące. Przez wieś w kierunku Jarocina na Wrześnię maszerowały kolumny jeńców. Wzdłuż kolumny szli uzbrojeni żołnierze. Strzelali do każdego jeńca, który tylko o krok oddalił się od kolumny. Strzałów było dużo. Z kolegami stałem na skraju drogi i gapiliśmy się na przechodzących. W pewnej chwili poczułem ból w nodze. Okazało się, że zostałem postrzelony. Draśnięcie kulą karabinową.

Na drugi dzień tą samą trasą uciekali przed frontem cywile. Wozy, rodziny, psy – wszystko zmęczone. W oczach mieszkańców wsi nie było litości. Niektórzy okradali przejeżdżające wozy. Z jednego wozu ukradziono pierzynę. W domu okazało się, że w pierzynie jest dziecko – niemowlę.

Zawinięto więc pierzynę i z dzieckiem podrzucono na inny wóz. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie potępił.

Po kilku godzinach ktoś przyniósł do wsi wiadomość, że od strony Jarocina zbliża się wojsko rosyjskie. Ludzie wylegli na główną ulicę.

W bramie zakładu wywieszono biało-czerwone flagi. Wszyscy byli podnieceni. Wszyscy, starzy i młodzi, wyczekiwali, aby powitać Rosjan. Ktoś już usłyszał czołgi, ktoś już ponoć widział wojsko. Jednak nikt do wsi od strony Jarocina nie wjechał.

Natomiast od strony Wrześni przyjechali w samochodach i motocyklach z przyczepami żołnierze niemieccy. Wjechali na teren zakładu spoglądając tylko na stojących ludzi i wiszące flagi.

Wszyscy uciekli do domów. Poszła plotka, że Niemcy przyjechali zaminować fabrykę. Po kilkunastu minutach odjechali w kierunku Wrześni. Pół godziny później przyjechali samochodami Rosjanie. Znów wszyscy zebrawali się przed bramą fabryki. Radości, powitaniom i łzom nie było końca. Rosjanie rozdawali nam cukierki, których od dawna nie mieliśmy w ustach. Ktoś wyniósł na ulicę portret Hitlera, spuścił spodnie i zrobił kupę. Oklaski. Radowali się wszyscy do późnej nocy. Goszczono Rosjan gorzałką.

W marcu 1945 roku ogłoszono zapisy do szkoły. Miałem 10 lat i nie znałem ani jednej literki. Zostałem przyjęty do klasy pierwszej „G”. Nie mieliśmy książek ani zeszytów. Jedynym zeszytem to była tabliczka i rysik. Nauka czytania szła mi dobrze. Po prostu czytanki uczyłem się na pamięć. Co pół roku przechodziłem z klasy do klasy. Po czterech latach ukończyłem w czerwcu 1949 szkołę podstawową. Potem ogólniak we Wrześni. Codzienne dojeżdżanie pociągami w wagonach towarowych zw. Towosami.

Tak wyglądało moje wojenne dzieciństwo.